



**Magiczny
Kraków**

Z zułowskiego dworu do jagiellońskiej wszechnicy

2017-09-13

22 i 23 września odbędzie się w Krakowie zorganizowana przez Uniwersytet Jagielloński i Polskie Towarzystwo Mikrobiologów konferencja naukowa. Jej pomysłodawcy pragną w ten sposób uczcić dwa ważne wydarzenia w historii polskiej nauki, czyli 90. rocznicę powołania PTM oraz rocznicę urodzin ojca mikrobiologii polskiej prof. Odon Bujwida.

Michał Kozioł

Zrozumiałe jest, że część konferencji będzie poświęcona historii, a jej uczestnicy wysłuchają ciekawych i merytorycznych referatów, dlatego bezcelowe byłoby przypominanie naukowego dorobku postaci, którą słusznie nazywa się ojcem polskiej mikrobiologii. Warto jednak przy tej okazji wspomnieć o kilku epizodach z życia profesora Bujwida, nie tylko wybitnego uczonego i wspaniałego organizatora, lecz także autentycznego społecznika oraz – o czym często się zapomina – aktywnego krakowskiego radnego miejskiego.

Wspomnienia z Zułowa

Przyszły mikrobiolog urodził się w Wilnie, jednak – jak sam twierdził – jego najwcześniejsze i najważniejsze dziecięce wspomnienia wiążą się z Zułowem, miejscowością rodzinną Józefa Piłsudskiego, gdzie jego ojciec zarządzał majątkiem należącym do Antoniego Billewicza, dziadka Marszałka. Był więc Odon Bujwid jednym z uczestników wielkiego polskiego odwrotu ze wschodu, procesu zapoczątkowanego w czasach konfederacji barskiej i do dziś kontynuowanego. Wspomnienia z Zułowa to nie tylko sielanka wiejskiego życia, ale także widziana oczyma dziecka tragedia powstania styczniowego. Najpierw dziwił się, dlaczego wujowie i pisarz prowontowy leją tyle kul. Pytał ich o to, a oni odpowiadali, że będzie wielkie polowanie na niedźwiedzie. Później z dworu zniknęli młodzi mężczyźni. Mówiło się, że w okolicy są już Moskale i mogą zjawić się we dworze. Kiedy zapytał o to swoją piastunkę, usłyszał słowa: „Nie mów tak, to nasze wojsko”. Już jako dziecko przekonał się, jak cienka była warstwa kresowej polskości. Na szczęście rosyjscy żołnierze, którzy wkroczyli do zułowskiego dworu, zachowywali się przyzwoicie i spokojnie zjedli przygotowany przez służbę poczęstunek.

Piastunka, choć nieświadomiona narodowo, poważnie traktowała swoje obowiązki i niechętnym okiem patrzyła na psie odwiedziny w dzieciennym pokoju. Psów w zułowskim dworze było wiele, ale ulubieńcem panicza Odo został Zagraj. To dzięki temu gończemu, noszącemu tak arcy-polskie imię, przyszły bakteriolog po raz pierwszy zetknął się z wścieklizną. Kiedyś – jak po latach pisał w swoich wspomnieniach – głaskał oraz tulił chorego Zagraj, który ciężko dyszał i toczył z pyska zieloną ślinę. Był tak serdecznie zajęty chorym psim przyjacielem, że nie zwracał uwagi na krzyki przerażonych domowników, którzy wołali „Uciekaj, bo to pies szalony!”. Na szczęście dla chłopca wszystko dobrze się skończyło.

Jednak przyszło opuścić sielską krainę dzieciństwa. Odon Bujwid został wybitnym lekarzem i od 1886 r. w swoim warszawskim mieszkaniu leczył ludzi pokąsanych przez zarażone wścieklizną zwierzęta. A



los oddalał go coraz bardziej od rodzinnej ziemi litewskiej, czekał go bowiem wyjazd do zaboru austriackiego. Jak sam pisał po latach „otrzymałem zaproszenie z Wydz. Lek. Uniw. Jag. na katedrę Higieny do Krakowa, ale sprawa szła powoli z powodu paru kandydatur ludzi miejscowych, bliskich sferom krakowskim, tak, iż na jakiś czas utknęła”. Można podejrzewać, że „sfery miejscowe” skutecznie przeforsowałyby swojego kandydata, gdyby nie pewne wydarzenia w Lublinie i Wiedniu.

Cholera w Lublinie

W 1892 r. w Lublinie pojawiła się azjatycka cholera. Zarazę przywiozła pewna niewiasta przybyła z Rostowa nad Donem, którą – jako podejrzaną o nosicielstwo cholery – tamtejsze władze policyjne odesłały do miejsca urodzenia. Doktor Bujwid, którego pewien lubelski lekarz kolejowy poinformował o pojawieniu się w Lublinie dziwnej, śmiertelnej biegunki, przeprowadził stosowne badania. Wynik był jednoznaczny. W tej sytuacji potrzebne było natychmiastowe działanie. Doktor Bujwid udał się więc osobiście do generała gubernatora Józefa Hurki, zwierzchnika wszystkich gubernatorów w Kraju Nadwiślańskim, aby poinformować o grożącym niebezpieczeństwie. Reakcja na tę wiadomość była typowo czynownicza. Hurko udał się osobiście do Lublina, strasznie zrugął miejscowego gubernatora Tchorzewskiego i oświadczył: „Nie chcę, żeby w Lublinie była cholera!” Takie oświadczenie było zupełnie jednoznaczne. Choćby epidemia była, choćby ludzie marli jak muchy, to trzeba nabrać wody w usta i milczeć o cholery, a przede wszystkim dementować wszelkie plotki na temat grożącej epidemii.

Początkowo wydawało się, że warszawskim generałem gubernatorem kieruje zwykła czynownicza rutyna, że działa on w myśl starej zasady, która brzmi: „jak o czymś się nie mówi, to tego nie ma”. Tymczasem sprawa była o wiele poważniejsza. Otóż planowano wtedy zorganizowanie w Małopolsce, na samej granicy z Krajem Nadwiślańskim, wielkich manewrów wojska austriacko-węgierskiego. Manewry byłyby idealnym sposobem na rozniesienie zarazy po całym obszarze „zaprzyjaźnionego mocarstwa”. Generał gubernator Hurko rzecz jasna wiedział o planach austriackiego dowództwa i z pewnością nie miał nic przeciwko temu, aby cholera pojawiła się także w Austrii. Na szczęście protomedykiem Galicji był wówczas doktor Józef Merunowicz (to właśnie na jego cześć jedno z krynickich źródeł nazwano „Józefem”), bardzo poważnie traktujący profilaktykę chorób epidemicznych. Ponieważ, mimo wyraźnego rozkazu Hurki, plotki o cholery przekroczyły granice, zwrócił się on do władz rosyjskich z prośbą o informację. Rzecz jasna w odpowiedzi otrzymał zapewnienie, że żadnej cholery w Lublinie ani oko nie widziało, ani ucho o niej nie słyszało. W tej sytuacji pozostawało tylko zwrócić się do kogoś bardziej godnego zaufania niż rosyjscy czynownicy. Wysłano więc do Warszawy pewnego lekarza, aby dyskretnie dowiedział się o epidemii ze źródła bardziej wiarygodnego, czyli od doktora Odon Bujwida. Wysłannik wrócił do Lwowa i zameldował przełożonemu, że cholera czai się na granicy. W tej sytuacji należało bezwzględnie odwołać manewry. Doktor Merunowicz zawiadomił namiestnika Galicji hrabiego Kazimierza Badeniego, który udał się w tej sprawie do cesarza. Najjaśniejszy Pan Franciszek Józef I z pewnością nie był tak ograniczony, jak twierdzą „znawcy” patrzący na tę postać oczyma Jarosława Haszka, a w roku 1892 miał niewiele ponad sześćdziesiąt lat, decyzje zapadły więc błyskawicznie. Manewry odwołano, a doktor Odon Bujwid został powołany na katedrę higieny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na podjęcie takiej decyzji mógł też mieć pewien wpływ fakt, iż w Krakowie nie rozpoznano przyczyny śmierci nawet podczas sekcji zwłok zmarłego na cholery.



Szczery, ofiarny, uczciwy

Profesor Bujwid – który bardzo szybko stał się w Krakowie popularną postacią – rozpoczął wykładać higienę jesienią 1893 r., a przede wszystkim zaczął szczepić ludzi pokąsanych przez wściekłe psy. W roku następnym, na Lwowskiej Wystawie Krajowej sam cesarz z wielkim zainteresowaniem dopytywał się o efekty pracy profesora i wyraził zdziwienie, dlaczego stołeczny Wiedeń nie ma takiej placówki jak zakład Bujwida.

Krakowska prasa z sympatią informowała krakowian o działalności profesora. Trzeba jednak przyznać, że czasem wiadomości te, oprócz współczucia dla pokąsanych, zawierały także pewną dozę podszytego kpiny zdumienia. Krakowski „Czas”, dziennik poważny i niegoniący za tanią sensacją, zamieścił w 1903 r. notatkę zaczynającą się od słów: „Pięć osób pokąsanych przez wściekłego kota przywieziono przed paru dniami z Delatyna do zakładu Dra Bujwida w Krakowie”. Autor notatki wyjaśniał niezwykłą skuteczność dotkniętego wścieklizną mruczka. Zaczęło się od tego, że kot ugryzł kogoś w Łojowie pod Delatynem. Chore zwierzę natychmiast złapano, wsadzono do worka i powieszono do Delatyna, aby tam bezpiecznie utopić w Prucie. Do wodnej egzekucji jednak nie doszło. Wytrząśnięty z worka kot zdołał umknąć i pokąsać jeszcze cztery osoby w Delatynie.

Spółeczna działalność profesora w krakowskim okresie jego życia to osobne zagadnienie. Warto jednak zacytować fragment wiersza, którym satyryczne pismo „Djabeł” pożegnało kończącego kolejną kadencję radnego Odon Bujwida.

Że „Djabeł” z Tobą w wielu sprawach
Nieco się różnił, to nie dziwy,
Lecz musi przyznać, żeś by zawsze
Szczery, ofiarny i uczciwy.